

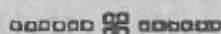
Z artystów premiery najwybitniejszą kreację dał Jaracz w roli Winerskiego. To było małe arcydzieło charakterystyki, w którym śmiał się gorzki humor, syczało cierpienie i skupiały się w żywej indywidualności znamiona typu. To był człowiek i sfera.

Wyborny był także Zelwerowicz w swej drugiej edycji „Pigmaliona“ tylko jakby wyzłoczonej promieniami artyzmu. Niby ta sama rola, ale odlana w szlachetniejszym metalu. Niby ten sam człowiek, jeno dostojniejszy.

Starska, jako „mezaliansowa“ księżniczka, miała urok wiosennego szczęścia. Czulo się, że w tej duszy jest jasno. W głosie jej, w uśmiechu i oczach grała radość życia.

Bardzo żywą, wyrazistą i artystycznie przeprowadzoną rolę syna bankierskiego dał także p. Grabowski, dobrze cieniowały dyalog panie: Tatarkiewiczówna, Elsnerówna, Zarzycka i Krysińska; przekolorowała swą rolę Słubicka, błądy był trochę Sosnowski, niezdecydowany w wyrazie, jak zresztą sama rola, Wiślański, a doskonałi w tonie i rysunku: Zieliński i Jarmiński.

*Władysław Rabski.*



## 50 KARBOWAŃCÓW.

(Z ŻYCIA WIEJSKIEGO).

Hawryło Kryształuk był furmanem w Kohotówce, w bałckim powiecie. Woził na spacer dzieci i nauczycielki. Samych państwa — nigdy.

Od tego był stangret Padulewicz, szlachcic, katolik, prezentujący się jeszcze wspaniale z kozła, choć stary bardzo; jeszcze z panowym ojcem — marszałkiem panem Porczyńskim, jeździł do Kijowa, kiedy to ludzie jeździli — po Bożemu i po pańsku: swoim powozem, swoimi końmi, a nie, jak teraz, co to i chłopów i żydów i kacapów i bydło ciągnie razem jedna piekielna maszyna.

Padulewicz niemało widział z kozła. Wszelakich „zahranic“ nie cierpiał, a dodajmy, że za granicą jego świata były wody Siniuchy, oddzielające powiat bałcki od Chorsońszczyzny. Dniepr był już, wedle niego, „poza światami“. Że tam... gdzieś, było coś jeszcze, nad tem się nie zastanawiał.

Aż oto umarł jego rówieśnik, stary lokaj Szklarewski i „nastał“ nowy — czort go wie, jakiś Ludwik. Odtąd w izbie czeladnej dowiadywano się wciąż o nowych krajach.

Zahranycia pęczniała jakby, rozpościerała się coraz dalej. Raz, podczas wieszki, Ludwik przechwalał się jakimiś Paryżami. Dwu chłopców kredensowych aż rozdziawało gęby. A on do nich:

— Widzieli Podwołoczyska?

— Nie — przyznawał Trofimek.

— A ja widział.

— A Brody widzieli?

Nie odzywał się żaden.

— A ja widział.

I tak padała przechwałka za przechwałką, jak kamienie w wodę z pluskiem wielkim. Dziwowali się i zazdrościli wszyscy, nawet kuchcik, tem więcej, że nie rozumiał.

Padulewicz mruzczał i siwego wąsa podgryzał.

— A z was kto widział sam Wiedeń?

Było to pytanie z rzędu tych, na które odpowiedź zbyteczna, jak naprzykład: „Chcesz, żebym ci powiedział, co o tobie myślę?“

Ludwik spozirzał dokoła, już naprzód lubując się efektem. A efekt nie zawiódł. Jeśli chwalby Ludwika porównywalismy do kamieni, które wpadają w wodę z wielkim pluskiem, to idąc dalej na drodze porównań, rzec możemy, że przytłaczały one wszystkie głowy. Oprócz jednej wszelako.

I oto na owe głowy, pochylone w zachwycie — spadł kubeł zimnej wody.

Padulewicz wstał. Wyprostował się w całej swej ogromnej wysokości, wziął się pod boki, patrząc na Ludwika z góry, jak gdyby go mierzył i do siebie pasował, pogardliwie i szyderczo spytał:

— A w Pokotyłowie ty był?

Ludwik zachnął się. Ramionami wzruszył.

— Był? Pytam ja ciebie. Odpowiadaj.

— W Pokotyłowie nie był — musiał przyznać wojażer.

— Tak ty milcz. Nic ty nie widział — oznajmił stangret, tak stanowczo, że sam Ludwik się zmieszał.

...Pokotyłowa? Co to? Może jakieś miejsce cudowne?

Przybyły niedawno z Galicyi „panowy“ lokaj tych stron nie znał. To tłumaczy, że o Pokotyłowie nie słyszał.

A Pokotyłowa, to takie miasteczko, co ma — do sześciuset dusz — nieochrzconych i dziesięć, chrzconych, wedle greckiego obrządku. W onej Pokotyłowie, ongi, w pośród rynku w niewysychającej nigdy kałuży, w jesienie utonął woziwoda razem z beczką. Zastęnęłaby z tego szerzej i dalej, gdyby tej sławy nie dzieliło z nią przynajmniej osiem miasteczek w bałckim powiecie. Odznaczyła się jednak Pokotyłowa z chwilą, gdy, jak mówiono potem w kuchni — Padulewicz „zatknął nią gębę“ największemu „brechuniowi“.<sup>1)</sup>

Z tą chwilą również stał się on dla Hawryła Kryształuka takim, co to mógł chyba tylko z samym panem się równać — nawet nie z panią, ani z dziećmi.

A Hawryło podniósł się i we własnem mniemaniu, bo — on znał tę Pokotyłową, co była znakomitsza od wszystkich cudów, jakie widział Ludwik. A znał poza tem jeszcze i większe od Pokotyłowy — Hołowanieskie i równie zabłoconą Targowicę, choć się nie domyślał, że ta jest z nich wszystkich... najważniejsza.

Duma Hawryły nie utknęła na tem. Rozdyndała się, jak dzwon, w miasteczku, tak małym, że nie mogło się nawet szczycić ogromną kałużą — w Ternówce.

A było to tak.

Ni ztąd ni zowąd Hawryło zasłabł. Przyszła na niego taka „planeta“. Parobek, jak koń, a raptem zaczęło drapać w gardle i tak drapało, że aż go powaliło — na piec. Dla niego osobno sprowadzili doktora. I to już dosyć żeby shardzieć. Ale to jeszcze nie wszystko. Doktor powiedział, że choroba taka, co i drugim zaszkozić może. Pan dał furmankę. Położyli na niej Hawryłę i zawieźli o trzy wiorsty do Ternówki, do szpitala ziemskiego.

Leżał Hawryło w gorączce; nie wiedział, co z nim robią. A obok niego leżał kowal z Perehonówki, Dmytro Bodnar i aż go „skręcało“ z zazdrości.

A jak tylko w oczach Hawryły zobaczył, że on zrozumie, co do niego mówić, tak powiada:

— No, no czort wie komu Pan Bóg daje szczęście. Ja nie wiedział, że ty taki drogi dla swego pana.

— Abo co? — spytał Hawryło.

— Duże bohaćko<sup>2)</sup> zapłacił on za jedno twoje gardło. A gdyby tak dwie nogi, albo dwie ręce! Ty miał bardzo pańską chorobę — nie tak jak ja — co mnie bolał tylko żywot.<sup>3)</sup> A choćby i co więcej bolało, szczęścia nie mam. Mój pan za mnie ty-leby nie zapłacił.

Hawryło nie rozumiał o co idzie, ale z uciechy, że mu zazdroszą, podźwignął się i na łóżku usiadł.

A Dmytro zazdrościł mu dalej.

— Przywozili tobie coś aż z Bałty, bo w Ternówce tego nie ma.

— Ty zkad wiesz?

— Nie leżę — to obok ciebie? Słyszał. Dochtor mówi: „Jemu trzeba coś tam włożyć do gardła. A nie to umrze“. Gdyby tak ja, powiedzieliby: niech zdycha. O jednego chama mniej. Ale ty — lepszy. Dochtor mówi: „To, co trzeba włożyć bardzo drogie, u was, w Ternówce tego niema,, ale jego pan — niby Porczyński — mnie dał pieniądze, żeby ja to sprowadził z samej Bałty“.

— I sprowadził? — pyta Hawryło, dysząc ciężko ze wzruszenia.

— Sprowadził! — Takie już twoje szczęście! A wiesz ty wiele kosztowało?

— Pięć karbowanów.<sup>4)</sup>

Duma Hawryły nie wspinała się jeszcze wyżej.

— Pięć? — podjął Dmytro z uśmiechem zjadliwym. — Gdybyż pięć. Mnieby tak żal nie było... Ty droższy.

— Dziesięć? — domyślał się Hawryło.

— Jeszcze droższy.

— Dwadzieścia?

— I tego ty nie wart — sam się dziwisz.

Hawryło istotnie tak się dziwił, że aż mu tchu brakło.

Dmytro patrzył na niego chwilę, wytrzymał go w tem osłupieniu, aż wreszcie nachylił się nad nim, i w samą twarz, z jadem, z goryczą rzucił mu:

— Piat'desiat' karbowanów.

Hawryło opadł na brudną poduszkę. Zaparło go ze szczęścia, z dumy.

— A co? wart tyle? Sam powiedz? — pytał wciąż nad nim nachylony Dmytro. A w głowie tamtego aż coś zaskwierczało, jakby ktoś na patelnię rzucił duży poleć słoniny. Tak w głowie Hawryły skwierczało bez ustanku.

— Piat'desiat' karbowanów.

— Dostał znowu gorączki. I jednym głosem krzyczał w malignie:

— Piat'desiat' karbowanów.

A gdy mu przytomność wróciła, cieszyć się czy martwić, sam nie wiedział.

...Poco tyle pieniędzy było mu dawać do gardła. Nie lepiej — do ręki.

...Ale drogi był! Drogi!

I zaczynała go rozsadzać pycha — uczucie obce mu zgoła, a że nie był z niem oswojony, więc nie wiedział, jak sobie z niem poczynać. Gniołło go, zawadzało. Przewracał się z boku na bok, aż jęczał, tak go te „karbowanice“ bodły.

Zrobiło mu się gorzej. Ale że najsilniejszego nawet dyfterytu nie dostaje się powtórnie, ze wzruszenia, więc koniec końców wyzdrowiał. Lecz z głową było wciąż nie tego. Czuł, że mu się rozum wywraca do góry nogami, że ne usi doma<sup>5)</sup> i zrozumieć nie mógł czemu on dla pana taki drogi, taki kosztowny?

Ale zanim jeszcze wyszedł ze szpitala, już mniej się dziwił. Nabrał wiary w swoją wartość.

...Jeżeli tak... powiedział sobie..

I ogromnie shardział. Nie poznawano go w Kohotówce.

— Bez kija do niego nie przystępuj — dziwował się Padulewicz, gdy po raz pierwszy, zamiast spełnić ślepo jego rozkaz. Hawryło odburknał mu:

— Ja sam wiem. Ja nie durniejszy od was.

...Nie durniejszy? Słyszał to kto? On, Hawryło ta dubyna<sup>6)</sup>. Wetykyj do neba, a durnyj jak treba!<sup>7)</sup>

Stary tak się zdziwił, że zuchwalstwo uszło, na sucho.

W kilka dni potem Hawryło nie chciał wywozić gnoju.

— Nie będę, taj hodi<sup>8)</sup> — oznajmił.

Padulewicz chwycił za kij.

I znowu stała się rzecz dziwna.

<sup>4)</sup> Egarzowi. <sup>5)</sup> Bardzo dużo. <sup>6)</sup> Żołądek. <sup>7)</sup> Ruble (karbowane). <sup>8)</sup> Brak piątej klepki.  
<sup>9)</sup> Głęb. <sup>1)</sup> Wysoki do nieba, a głupi — jak trzeba. <sup>2)</sup> I koniec.

Hawryło, widząc podniesioną na siebie rękę, jak się nie rozkraczy, jak się nie chwyci za boki, jak nie wrzaśnie:

— Ostawcie! Moja skóra droga! Oj jej! jaka droga:

Kij nie spadł mu na plecy. Wstrzymało go znowu — osłupienie.

Hardział z dniem każdym Hawryło. Nabierał zachowania wśród „dworni”. Do tego doszło, że fornale i chłopcy stajenni zaczęli do niego: „wy” mówić.

Równomiernie do ludzkiego szacunku wzrastała buta. Gdyby Hawryło potrafił ująć swe postępowania w maksymę, albo w aforyzm, toby twierdził, że „O tyle cenią cię ludzie, o ile ty sam siebie przeceniasz.”

Szacował się wprawdzie tylko na — pięćdziesiąt karbowańców, ale to starczyło, by go podnieść w szacunku ludzkim.

Dziwowali się, zazdrościli mu — w oborach, w stajni, w kuchni, nawet w kredensie. Bo domyśleć się łatwo, że nie było parobka, nie było koniucha, nie było świniopasa, którego by Hawryło o cenie swego gardła nie uwiadomił.

A, że chłop, ukraiński zwłaszcza, jest podejrzliwy i wobec pana nieufny, więc zazdroszcząc i podziwiając, zastanawiano się jednocześnie: Co w tem jest? Co się pod temi karbowańcami ukrywa?

— Może Hawryło taki mądry, choć nie widać. Może pan zrobi jego ekonomem?

„Buszowały” przypuszczenia, domysły i — czapkowano Hawryle. Nawet stary Padulewicz. Czy to, że już zesłał w garści, czy, że w swoim pomocniku widział taki duży grosz pański, dość, że go nie tknął od powrotu ze szpitala, i ani razu nie powiedział mu choćby: „dureń”.

A dawniej...

Hawryło swoją robotę spychał na chłopców, upijał się. I nic. Ktoby takiemu śmiał co powiedzieć. Ktoby na takiego poskarżył przed panem?... A może to jego brat?... Czort ich wie.

Hardział Kryształuk z dniem każdym, aż wreszcie dnia jednego pozwolił sobie — za dużo.

Przychodził Ludwik do stajni, z rozkazem pana, żeby Hawryło zaprzęgał do wolanta, wioził na spacer nauczycielkę z dziećmi. A Kryształuk głowę zadziera, w boki się bierze. I — nie: on tylko samych państwa wozić będzie, nikogo innego. Namawiał go Ludwik po dobroci, namawiał i Padulewicz. A on swoje: „nie powiozę”. I co mu zrobisz?

Aż strach panu powtórzyć.

Jak pan posłyszał, każe wołać Hawryłę.

— A ty durniu, co sobie myślisz? — pyta go pan, i nie spodziewa się naturalnie odpowiedzi.

A Kryształuk:

— Ja myślę, że ja dla gubernantek za drogi.

— Ty! Ty! — krzyczy pan, podbiegając do niego.

Zadrzała dusza w Hawryle — ta, przedszpitalna.

Ale znowu szepce mu: „Nie bój się. Ty panu potrzebniejszy, jak pan tobie”. I Hawryło bać się przestaje i oblicza: na ile on panu potrzebny.

A pan krzyczy:

— Zduśniał ty do reszty? czy co?

— Może ja i był durny, ale teraz już nie — odpowiada znowu parobek na pytanie, które pytaniem nie jest. Rozzuchwalił się. Jak żyje pierwszy raz panu w oczy spojrzal i twierdzi:

— Nie durny ja już — nie. Będę wozil samego pana i pan mnie da...

Zatkął się... Ile powiedzieć? Żeby nie zamało. Już się na sto dwadzieścia rubli pensji decydował. Wymienić tej cyfry nie zdążył — pan mu słowo odebrał.

— Ja ci dam! — huknął. — Dam, czego się nie spodziewasz! Won ze stajni! Ze dworu! Żeby ciebie moje oczy nie widziały!

Rozsierdzony pan wybiegł z kredensu, a Hawryłe — Ludwik z kredensu... wyrzucił.

Padulewicz pożegnał go kułakiem.

Uragił mu nawet koniuch:

— Ot, zachciało się panować! Widzisz, jako ty panu drogi!

Wrócił Kryształuk do chaty, zbił żonę, dzieci, ale mu to nie ulżyło i nie pomogło zrozumieć: dla czego tak od razu stracił swoją cenę w oczach pana.

Do dziś dnia nie rozumie. Nie potrafi ułożyć aforyzmu, że: przeceniać się można. Czemu nie? I owszem... Ale nie dalej, jak — można.

*Eugenia Żmijewska.*



Stella.

## SZLAKIEM ŻYCIA.

POWIEŚĆ.

### I.

Było to w roku 1863 i Feliks Wellinowicz miał lat dziesięć. Był wysoki, szczupły, ale silny i wygimnastykowany. Głowę pokrywała gęsta, wiecznie niesforna czupryna, a pod wysokiem czołem świeciły oczy pełne ognia i blasku.

Bracia spoglądali na niego litośnie, kiwając głową, Basia lubiła mu dokuczyć, wszyscy zaś wysługiwali się nim zawsze i wszędzie. On bez słowa spełniał co mu kazano, nie skarżył się nigdy, był potulny, cichy.

Kiedy mógł, uciekał od ludzi. Zasywał się wtenczas w gąszcz leśną, lub nad jezioro spieszył, gdzie godziny przepędzał dumając. Nikt o niego nie pytał. Nauczono go czytać z mozolem, dano jakieś pojęcie o Bogu i religii, i na tem skończyła się nauka. Feliks był temu rad. Jego wychowanie i nauka odbywały się teraz wśród łąk i pól, w serdecznym stosunku z przyrodą. Tam wyrabiał sobie pojęcia, tam rozbierał z dziwną logicznością wrażenia i wypadki, tam tworzył sobie świat i ludzi. Prawdziwy syn natury, oryginalnego charakteru, — miał swe zasady, swe sumienie, swe myśli, które zresztą mogły być ciekawym dokumentem dla badacza.

Zajmowano się nim bardzo mało, — były ważniejsze sprawy.

Coraz groźniejsze chmury gromadziły się na horyzoncie Polski. Po Królestwie i Poznańskiem uwijali się agenci, ściągając do spisku młodzież. Drobna, pajęczna sieć narad i tajemnic okryła cały kraj, a kto mógł chwycił za broń i przepadał w lasach. Jakiś cichy bunt i gorycz zalewały serca i zaciskały pięści...

Pewnego razu, kiedy Feliks wrócił do domu, po kilku godzinach niebytności zastał ruch ożywiony służby i niepokój. Staś pociągnął go do sieni i tłumaczy:.

— Słuchaj! Antek i Boles wyjeżdżają, tylko w tem sęk, że nie wiem dokąd! Przed godziną był tu Adam Brzeski i wyrzuciwszy mnie, gadali długo w gabinecie taty. Widziałem potem, że Basia płakała, a gdy Adaś odjeżdżał na swoim siwku, mama go objęła za głowę i całowała. Chłopcy mówili głośno: „Do widzenia“.

— Musiało się coś stać! Mama nic nie mówiła?

— Gapa! Właśnie ci powiadam, że nie!

— Hm! To ciekawe. Może jakie nieszczęście?

— Poczekaj Fel. Mam pyszną myśl, tutaj nic nie słyhać, ale pewnie znowu konferują. Prześlizgnę się gankiem pod oknami, a potem otworzę lufcik!... No Fel, co tak wyłupiasz na mnie oczy?

— Nie rób tego Stachu! Lepiej się pytać otwarcie...

— Żeby ci fige pokazali? Nie ma głupich! Zostań tutaj, ja znykam!

To mówiąc, chłopiec wyszedł, a Fel według swego zwyczaju oparł się o witrnę okna i myślał. Czemu nie był takim jak drudzy? Czemu wszelki fałsz, kłam-